№ 41. Warszawa, 14 Października 1910 roku. Rok III.

SPOŁECZEŃSTWO

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY, NAUKOWY i LITERACKI.

PRENUMERATA w Warszawie: z odnoszeniem do domu rocznie rb. 7 k. 60, Kwartalnie rb. 1 k. 90, Miesięcznie k. 65. Numer pojedyńczy — kop. 15. **Z przesyłką pocztową**: Rocznie rb. 9, Kwart. rb. 2 k. 25. Za zmianę adresu k. 20.

„SPOŁECZENSTWO“ wychodzi co piątek

Adres Red. i Administracji Wielka 1-a m. 1. Tel. 97-83.

OGŁOSZENIA po kop. 15 za wiersz petitu. REKLAMY po tekście kop. 30 za wiersz petitu. NADESŁANE na 1 stronicy przed tekstem po kop. 50 za wiersz.

Administracja otwarta od 10—2 i od 4—7, prócz świąt. W interesach redakcyjnych porozumiewać się można codziennie od g. 3 — 5 po południu. Drobnych rękopisów nie zwraca się.

TREŚĆ NUMERU:

Marja Konopnicka.

O, gdybym mogła z łez własnych, z tęsknoty
Utkać, jak tęczę, pas długi, pas złoty —
Rzuciłabym go w gościniec daleki,
By prędzej po nim szły wieki!

W jednym z najwcześniejszych utworów wyraziła zmarła poetka głębokie upragnienie całego życia. Mieści się w niem zaklęcie siły i zeznanie własnej słabości.

Rozświetlone miłością serce bierze na siebie brzemię cierpienia; powolna kobiecość pragnie zmyć niedolę świata strumieniem łez własnych.

Płyną łzy te, jak perły bezcenne, płyną jasną strugą, migocą opalowym pobłyskiem—po przez uzłocone pola, przez zapomniane ugory ziemi ojczystej. Płyną, szemrząc. Wstaje melodja ciszy wieczornej, wywołana ze strun mgieł srebrzystych dotknięciem dłoni łagodnej...

W duszy słuchacza wzbiera niezmierne współczucie i beznadziejny żal. Zapada w odrętwienie bolesne, głuchy na dźwięczne tony życia.

Głos surm bojowych nie dochodzi tam, gdzie cichą piosnkę zawodzą liljowe dzwonki polne. Brzęk kosy brzmi jak bluźnierstwo na cichej łące pod lasem.

Łza, co spłynęła z oka, jest jak skarb utracony. Łza niewypłakana jest rosą na zasiew przyszłości.

Uczcijmy zmarłą milczeniem łez niewypłakanych.

„KLĘSKA."

Okazało się, że od dłuższego już czasu klasztor jasnogórski był bezpieczną przystanią dla wszelkiego rodzaju noceur'ów, świętokradców i zbrodniarzy. Tym kapłanom „czarnych mszy" trudno było doprawdy znaleźć sobie w całym kraju cichsze schronienie. Lepiej, aniżeli grube mury średniowieczne, osłaniała ich przed opinją społeczną i władzą prokuratorską aureola świętości i tradycji dziejowej, otaczająca to miejsce i jego stróżów, a właściwie beneficjarjuszów.

Skoro istotny stan rzeczy został ujawniony, społeczeństwo zdobyć się winno na właściwą ocenę zaszłych w zgromadzeniu paulinów faktów i, wyciągnąwszy z niej odpowiednie wnioski, pomyśleć o środkach, które uniemożliwiałyby potwórzenie się wypadków podobnych w przyszłości.

Tymczasem nasza prasa burżuazyjna bez różnicy odcieni wstąpiła odrazu na drogę najzupełniej błędną, ale odpowiadającą jej interesom. Poprzez rozumowanie zgoła fałszywe, kroczy ku takiemu załatwieniu sensacyjnej sprawy, które, nie zasypując źródła złego, nie zaorywując gruntu, gdzie spokojnie pleni się zarazek rozkładu i zgnilizny, ma na widoku jedynie wzmocnienie zachwianych przez zbrodnie częstochowskie odwiecznych podpór reakcji społecznej.

Czyny o. Damazego i kilku innych paulinów kazały „patrjotycznym" publicystom rozedrzeć na sobie szaty. Rzecz całą uznano za „klęskę narodową", za jeden z tych ciosów, które codzień sypią się na głowę naszego społeczeństwa.

Był to zwrot taktyczny, który, wprowadzając w grę salus reipublicae, nadając całej rzeczy charakter sprawy narodowej, a więc poniekąd nietykalnej, miał przeszkodzić wzburzonym umysłom do uświadomienia sobie przyczyn, na jakiem tle dojść mogło do jasnogórskich skandalów. Groziłoby to nietylko upadkiem kultu dla oo. paulinów wśród najszerszych warstw ludu polskiego, lecz, co więcej—możliwością powstania ogromnego ruchu ogólno-antyklerykalnego, istotnie niebezpiecznego dla interesu „narodowego" burżuazji.

Dla nas zbyteczne byłoby dowodzić, że czyny Macocha i jego kamratów są zwykłemi przestępstwami, przewidzianemi przez ustawę karną, a wyrosłemi na podłożu pewnych, ściśle określonych warunków i dzięki sprzyjającym okolicznościom. Obciążają one oczywiście tylko bezpośrednich sprawców i nie dotykają w niczem narodu, gdyż nie noszą żadnych cech natury ogólniejszej, społecznej.

Jeśli szukać porównań, to inaczej miała się rzecz z wypadkami, których widownią był kraj nasz parę lat temu. Widzieliśmy wówczas wyprawę sokolską pod wodzą atamana Nakoniecznego, byliśmy w Łodzi świadkami walk bratobójczych; a ich organizatorzy, postawieni na świeczniku „narodu", dotąd się z nich chełpią. To były działania nie podpadające pod artykuły prawa karnego, ale znamionujące jaskrawo moralność jeśli nie całego społeczeństwa, to w każdym razie pewnej jego klasy. One to były istotnie w pewnem znaczeniu hańbą narodową, klęską narodową. Ale wówczas prasa burżuazyjna i patrjotyczna, opinja — z przekonania lub wyrachowania — klerykalna milczały albo popierały bezpośrednich sprawców zbrodni: szło wtedy o obronę interesów fabrykantów i obszarników przed naciskiem proletarjatu miejskiego i wiejskiego, „żądającego ochrony dla dzieci, lepszego traktowania siebie, lepszego chlewa na legowisko".

Dziś rzecz przedstawia się odmiennie. Dziś sprawa o. Damazego odsłania zgniliznę i zepsucie, kryjące się pod białym habitem mniszym, a przez to samo podważyć może w oczach ludu powagę zakonnników, kleru, kościoła i wreszcie religji, które służą możnym tego świata do zachowania stanu posiadania.

Z tego też względu obłuda symulantów katolicyzmu musi dopatrywać się klęski narodowej w tym potężnym ciosie, jaki o. Damazy zadał klerykalizmowi.

Krok, który lud polski uczynić może pod wpływem rozgoryczenia w kierunku wyrwania się z pod opieki zdyskredytowanego duchowieństwa, będzie jednocześnie posunięciem się od dziedziny przesądów i zabobonów religijnych ku sferze myślenia racjonalnego i wiedzy, a co za tem idzie—ku uświadomieniu się i usamodzielnieniu społecznemu, które zagrozi hegemonji klas posiadających.

„Naród" kilku tysięcy obszarników i przemysłowców, spekulujący wraz ze swą świtą na katolicyzmie i klerykalizmie, celem utrzymania obecnego układu sił społecznych, ma powody do biadania nad klęską, która go—i tylko jego—dotknęła.

Dla pozostałego narodu zbrodnie, spełnione na Jasnej Górze, są jedynie dowodem, czem stały się zakony, skoro uleciał z nich duch pierwszych chrześcijan i Franciszka z Assyżu.

Jak wszędzie, tak i u nas spełniały one niegdyś misję cywilizacyjną, niosły kulturę duchową i rzeczową ale czas ten przeminął już dawno, wraz z odbrzaskiem odrodzenia. Krytycyzm świecki niepostrzeżenie musiał prześlizgnąć się po za mury klasztorne, zabijając naiwną wiarę, duch czasu, wrogi wszelkiemu ascetyzmowi, przegryzł pierwotną surowość dyscypliny zakonnej, a przyjęcie przez państwo i instytucje publiczne zadań kulturalnych pozbawiły zgromadzenia religijne treści społecznej. Zakony stały się, stać się musiały grobami pobielanemi, gdzie w bezczynności, na stosach nagromadzonych i wciąż mnożących się bogactw nie mogły nie rozkwitnąć wspaniale cuchnące kwiaty zła.

Samoobrona społeczna przeciwko tylu zatruwającym organizm narodowy przeżytkom jest nieunikniona i wszędzie byłaby podjęta. Wszędzie indziej, gdzie naród żyje i rozwija się w normalnych warunkach, gdzie społeczeństwo posiada możność stanowienia o sobie, zbrodnie spełnione przez zakonników, stałyby się punktem wyjścia do walki z podłożem, na którem czyny podobne powstać mogły, które jest pośrednią ich przyczyną. Wszędzie indziej bylibyśmy już świadkami ogromnego, żywiołowego ruchu, w którymby brały udział burżuazja liberalna, klasa robotnicza i lud wiejski—ruchu za natychmiastowem rozwiązaniem wszystkich zakonów, a w dalszej konsekwencji — za obaleniem hegemonji kleru przez zerwanie konkordatu, oddzielenie kościoła od państwa, ześwieczczenie szkoły, ślubów, przysięgi i t. d.

Tylko dzięki naszym nienormalnym stosunkom politycznym może klasa posiadająca ze zbrodni zakonników robić klęskę narodową, by, ratując kler, ratować własną przewagę społeczną.

Syzyfowe to jednak wyniki. Wcześniej czy później jasnogórskie okopy św. Trójcy będą musiały ustąpić pod naciskiem nowego życia, które idzie na nie z zadymionych hal i dusznych shed'ów na przedmieściach Częstochowy.

Wacław Wróblewski.

Rzeczpospolita październikowa.

Dziś jasną jest rzeczą, iż wystrzał rewolucyjny w Lizbonie w dn. 1-go lutego 1908 r. rozległ się jako złowrogi dźwięk upadku monarchji portugalskiej i jako przygrywka „powstającej republiki burżuazyjno-demokratycznej. Śmierć króla Carlosa I i następcy tronu spadła w tej godzinie, kiedy rozkład państwa monarchicznego, odbywający się pod wpływem rabunkowej polityki, dotarł już do szczytów uprzywilejowanych i wtrącił je w matnię przekupstwa i frymarczenia krajem. Głębokie niezadowolenie wśród wszystkich niemal warstw narodu, pogłębiające się w prostym stosunku do wzrostu nędzy i niszczenia ekonomicznego społeczeństwa, doszło w tym czasie do punktu, gdzie ówczesna dyktatura polityczna Jana Franco, bezwzględna i okrutna, przestała być hamulcem rozkładu i fermentu. Przeciwnie, stała się zniszczającym płomykiem, zmierzającym po gruncie rewolucyjnym wśród ludu do wnętrza materjału palnego armji i marynarki. Długi lont wykroczeń rządu przeciw społeczeństwu powiększając się bez przerwy w ciągu dwuch lat ostatnich, dziś przyśpieszył wybuch rewolucyjny, tak szybki i powszechny, że naraz, jak iskra w prochowni, wysadził gmach wiekowej monarchji pół-absolutystycznej. W ciągu dni paru pozostały ruiny z państwa Braganza.

Włościaństwo, będące zazwyczaj czynnikiem kontr-rewolucyjnym w walce żywiołów miejskich z rządami reakcyjnemi, tutaj, nie bacząc na olbrzymie wpływy kleru, powstało wraz z demokracją masońską przeciw znienawidzonej władzy i dynastji. Zachowanie się chłopa, oddalonego od agitacji rewolucyjnej, może być miarą nastrojów wywrotowych, obecnie panujących w tym kraju; udział jego w ruchu, obecność w miastach, objętych przez insurekcję, może też być wskaźnikiem, jak daleko dotarło niezadowolenie z istniejącego stanu rzeczy, jeżeli najbardziej nawet zachowawcza część ludności powstaje przeciw stosunkom panującym. Społeczeństwo, zubożałe materjalnie i nie mogące zaspokoić potrzeb kamarylli, uciekającej się do przekupstwa i sprzedajności, do zawierania paktów z finansistami obcemi z krzywdą dla całego kraju—posiadało do wyżywienia oprócz pasorzytów świeckich także niszczące rzesze rozwielmożnionych jezuitów. Gospodarka rządu i kongregacji, rujnująca u podstaw kwitnący niegdyś handel i zaczątki przemysłu nowoczesnego—stworzyła w ostatniem dziesięcioleciu podłoże dla rosnącego ruchu w łonie niemal wszystkich warstw społecznych. Republika październikowa nie jest przygodnym wynikiem wypadków żywiołowych, lecz dojrzałą formą państwową, kształtującą się w drodze rozwoju lat ostatnich i odpowiadającą świadomości narodu portugalskiego. Mimowoli nasuwają się tu analogje historyczne. Jakkolwiek jest, w żadnym razie rewolucja lizbońska nie może być odbiciem roku 1848, jak chce jedno z pism reakcyjnych. Czynna rola mieszczaństwa, masowy udział robotników i włościan, bunty rolne, skierowane przeciw obszarnikom, klerowi i państwu, hasła republikańskie i nawoływania do walki w imię wolności, równości i braterstwa — raczej porównane być mogą do spóźnionego echa wielkiej rewolucji 89 roku. Przebieg portugalskiego przewrotu społeczno-politycznego, znoszącego dynastję, panowanie duchowieństwa i feudałów oświeconych, w miniaturze przypomina prędzej rozwój wypadków ze schyłku epoki Bourbonów, niżli zdarzenia z czasów powstania przeciw rządom „metternichowskim" w całej niemal Europie zachodniej.

Względnie słabe zróżniczkowanie społeczeństwa, odpowiadające stopniowi rozwoju stosunków nowoży-

---

Zygmunt Kisielewski.

ŚWITY.

5)

Zatrzymał się na wązkiej pyrci, plecami wsparł się o zimną grań i zaziera w otchłań pod nogami. Ciężkie wały chmur wzdymają się, wzbijają ku szczytom, otulają je coraz szczelniej. Tu, to tam, splami je krwawe, postrzępione skrzydło słońca. Nagle masy chmurne wzniosły się, skoczyły pod niebo tumanami. Kędyś z pod ziemi trysnęła fontanna błękitnego ognia, który raz wraz śmignie batami błyskawic. Warczy piorun w czeluściach. Z dołu rozbrzmiewa ryk przerażenia. — Nogi mu dygotają, osypuje się skała. Już niema gruntu pod stopami, zawierucha porwała go w swój chaos i niesie oślepłego, jak szmat chmury wirującej. Skurcz trwogi spętał kolana, zemdlało serce—tak gna w przestrzeń, wśród świstów i wycia orkanu — w nieskończoność przestrzeni... dokąd? dokąd?.. Z pośród zbałwanionych obłoków wyłoniła się głowa kobieca, dwoje rąk bladych, wyciągniętych do nieba. W kotłowaniu się żywiołów i grzmotach usłyszał głos: Stefan! Stefan! — miłości pełen i żałosny jęk, który, jak ptak oszalały, łbem uderzył o wyostrzony brzeg skały i krwią ją obryzgał. Krew strumykami pąsowemi cieknie po kamieniach.—Zbrodnię popełniłeś—echem odezwał się głos w duszy — na sobie i na niej. Biedny człowieku!

Zwolna powracał do świadomości. Pot zlewał mu ciało. Był pod rogatką Mokotowką. Przechodniów prawie już nie spotykał. Nogi uginały się pod nim ze zmęczenia. Zawołał dorożkę i kazał się zawieźć do hotelu.

Następnego dnia ocknął się około południa. Po co właściwie wstaje? Na co czeka? Co ma dzisiaj do zrobienia? Ruchem ospałym zsunął się z łóżka. Był jak butelka wypróżniona z wina, zarzucona w kąt. Rozmowa wczorajsza ze Zglińskim zadała mu głęboką ranę. Tęsknota jałowa kwiliła w duszy. Ubrał się i wyszedł na ulicę. Ludzie wydali mu się wołami gnuśnemi, z rezygnacją wypełniającemi swe funkcje. Pora obiadowa, więc spieszą się bardzo, aby potem znowu wrócić do warsztatów, zapracować na kolację—myślał Sarnecki.—Ulica wre, kipi. — Oto student wygalowany, jak laleczka, nadskakuje porcelanowej piękności; urzędnik z torbą skórzaną pod pachą biegnie z szybkością tramwaju; nauczycielka drepcze z głową spuszczoną, wielce czegoś zafrasowana; oficerowie w szarych szynelach automatycznie przykładają ręce do czapek; robotnik zamaszyście dyndający łapami; andrus wrzeszczący; tramwaje, dorożki, huk, gwałt, wrzask. Ulica rusza się, wre. Czy żyje? czy wre?—Życie udane, ruch kłamany. Oni gonią, spieszą się, harują kilka godzin

tnych, brak wyraźnie skrystalizowanych klas społecznych współczesnych, przeciwstawionych sobie z gruntu i zorganizowanych do walki wzajemnej, pozwoliło wytworzyć jednolitość prądu rewolucyjnego. Dzięki temu właśnie siła rozpędowa rewolucji, niehamowana przez tarcia wewnętrzne w środowisku, wrogiem monarchji,—ześrodkowana być mogła na jednej płaszczyźnie i wziąć łatwo górę nad zdezorganizowanym obozem dworskim, skłonnym do ucieczki w popłochu na widok wznieconej pożogi insurekcyjnej. W Lizbonie powtórzyły się sceny, będące odbiciem wydarzeń, zaszłych przed laty w pałacu wersalskim, berlińskim, wiedeńskim. Po pierwszych wystrzałach zrewoltowanej marynarki, wymierzonych z portu w stronę rezydencji Manuela II, wierni dworacy, powiernicy, zausznicy pałacowi, trefnisie i intryganci, rycerze feudalni lokaje królewscy, damy i subretki — cała ta szczurza gwardja, opuszczając naraz tonący statek dynastji Braganza, przepadła w morzu rewolucji bez śladu, niebaczna na króla, pozostawionego na łasce lub niełasce republikanów. Rozegrała się jednak scena w podziemiach pałacu, świadcząca, że typ rycerski wiernego rojalisty przetrwał z czasów świetnego romantyzmu i bohaterstwa po dzień dzisiejszy. Gorjas, komendant gwardji dworskiej, ukrywszy króla, królowę i najbliższe im osoby w piwnicach, zabezpieczonych od granatów, prowadził uporczywą obronę przeciw powstańcom. Spostrzegłszy, że nawet między obrońcami znajdują się spiskowcy, którzy otwierają wrota pałacu rewolucjonistom, uznał sprawę królewską za straconą bezpowrotnie. Wówczas, po skreśleniu kilku wzruszających słów pożegnania do króla, pozbawił się życia wystrzałem z pistoletu. Republikanie, którzy w tejże chwili wkroczyli do podziemi, odsłonili głowy przed zwłokami generała.

Po ucieczce króla ogłoszono upadek monarchji i dynastji. Ustanowiono rzeczypospolitę portugalską. Oświecone grupy republikańskie w mieszczaństwie, wziąwszy przewodnictwo nad insurekcją i zdobywszy przewagę nad pozostałemi warstwami, niewyrobionemi politycznie,—wytworzą niezawodnie stan rzeczy, odpowiadający dążeniom tej klasy społecznej.

Perbor.

Kongres międzynarodowy w Kopenhadze.

(Dokończenie).

5. Sprawa bezrobotnych i polityka społeczna.

Zagadnienia powyższe rozpatrywała czwarta komisja kongresu i przedłożyła na posiedzeniu plenarnem dwie rezolucje: jedną w sprawie bezrobotnych, drugą w sprawie prawodawstwa ochronnego. Obydwie rezolucje były przyjęte znakomitą większością głosów wbrew głosom Anglików, którzy uznali je za zbyt skromne w żądaniach i zbyt niewyraźne.

Rezolucja w sprawie bezrobotnych referowana przez Adolfa Brauna z Wiednia brzmi:

„Kongres stwierdza, że brak pracy jest nierozłączny od kapitalistycznego sposobu wytwarzania i że tylko z nim razem zaniknie. W ustroju przeto kapitalistycznym mowa być może nie o usunięciu braku pracy, lecz tylko o zmniejszeniu i złagodzeniu skutków.

„Kongres żąda powszechnej obowiązkowej opieki nad bezrobotnemi, zawiadywanej przez organizacje robotnicze kosztem właścicieli środków wytwórczości.

„Przedstawiciele klasy robotniczej mają żądać od władz publicznych:

„1) Ścisłej i perjodycznej statystyki, stwierdzającej brak pracy.

„Robót publicznych dla bezrobotnych wystarczających i opłacanych w wysokości wyznaczanej przez związki zawodowe.

„3) Nadzwyczajnych zapomóg dla kas pomocy bezrobotnych w czasie przesilenia.

„4) Zapomogi wydawane bezrobotnym nie zmiejszają ich praw politycznych.

"Organizowania i wspierania instytucji pośrednictwa pracy, w których związki zawodowe pilnować będą wolności interesów robotniczych.

*) Patrz Nr. 39 „Społeczeństwa".

---

dziennie, cały dzień, noc, a ja nic nie robię, nic robić nie chcę. Więc oni żyją, mają prawo do życia, a ja nie?—Praca jest święta.—Ależ i oni woleliby nie robić tego, co robić muszą, ale muszą, więc praca jest rzeczą świętą. Ilu tu takich, co pracują z własnej chęci, z wesołej ochoty, nie uważając pracy za przykrą konieczność? Jeśli powiadają, że ich to obchodzi, to kłamią. Jeżeli zaś uprzytomniają sobie pustkę swego życia, to konsekwentniejszy i mądrzejszy jest kot, który całemi dniami wyleguje się na słońcu. - I cóż oni mają za ten mus?—Spokojny byt, nagrodę za uczciwą pracę „dla społeczeństwa". Raczej już pod płotem zdychać niespokojnie. — Poczciwość, rozsądek i wszelkie inne cnoty, takiemi papierami niechaj operują Zglińscy. Och ten będzie miał byt spokojny!—Tacy pod płotem nie zdychają.—Ale ty zginiesz, staniesz się szmatą, na której Zglińscy wymalują: „Złamana Egzystencja" i zawieszą ją na drągu, jako odstraszający przykład dla młodzieży.

Sarnecki wszedł do cukierni, zamówił kawę i, zasłoniwszy się gazetą, snuł dalej wątek myśli. Widział się tym nędzarzem, moralnie złamanym, co z nikim i niczem nie chce się łączyć, bo mu to wszystko wstrętne, skłamane, obłudne. Należy do wyrzutków społeczeństwa, tratowanych i pogardzanych za to, że się nie godzą i swojem istnieniem protestują. Życie własne przedstawiło mu się jako wegetacja skopanego żebraka. Z dziwną rozkoszą zatrzymał się nad tą myślą. Niczego nie ma, jest niczem; ludzie mają dlań pogardę, a on im się w odpowiedzi uśmiecha. Oddał się całkowicie rozpatrywaniu tego uczucia, które błyszczało w duszy, jak świętojański robaczek; podobne do kwiatka zimokwita, co przed zimą zasypuje ziemię zwiędłą różowością. Stan ten podobny był zachwyceniu, znanemu samotnikom: stan niezamąconej cichości ducha. Dla Sarneckiego była to chwila wypoczynku. Twarz mu się wygładziła, na ustach zakwitnął uśmiech rozumnej dobroci, oczy zazwyczaj mętne, nabrały głębokiego spokoju. Z tajnych skrytek dobywał się głos duszy. Sarnecki nie potrafiłby określić, jak długo trwał ten stan błogi. Patrzył w tajemnicę, napróżno starając się ją odcyfrować. Pamięć zanotowała jeno wspomnienie szczęścia i radości wszystko ogarniającej.

Ale wiatr zawiał i zamroczył jasność stawu.

Twarz Sarneckiego ścięła się. Idące z niej promienie skupiły się w jednym punkcie. Oczy zamigotały i dwa ogniki, niby dwa druty lśniące, wbiły się w jedno miejsce przestrzeni, wysilając się na wywołanie dokładnego obrazu, który się mglił przed oczyma liniami nieuchwytnemi Obraz Reginy, gdy wpół przegięta, z oczyma przymrużonemi, kusząca, uśmiechnięta szepcze: całuj, pieść! Sarnecki zatrząsł się. Łzy cisnęły się do oczu, wargi poruszały się wezwaniami miłości. — Tak zabrnął w myślach i marzeniach, że zapomniał, gdzie się znajduje. Odszukiwał chwile z nią spędzone, wspominał i rozpatrywał jej oczy, usta, pieszczoty, a każde przypomnienie mnożyło tęsknotę. Skoro jeden obraz

„6) Skrócenie dnia roboczego w drodze prawo-„dawczej.

„7) Do chwili realizacji powszechnej publicznej, „prawem zawarowanej i obowiązkowej opieki nad bez-„robotnemi, władze publiczne mają popierać finansowo „kasy dla bezrobotnych przy związkach zawodowych. „Popieranie to nie ma jednak w niczem ograniczać samodzielności związków zawodowych."

Rezolucja w sprawie prawodawstwa ochronnego brzmi, jak następuje:

„Wzrost wyzysku robotników w miarę rozwoju „wytwórczości kapitalistycznej doprowadził do takiej „sytuacji, że koniecznością się staje prawodawcza in-„terwencja skierowana dla ochrony życia i zdrowia „robotników. Prawodawstwo ochronne w żadnym kraju „nie stanęło na tym poziomie, który jest pilnie potrzebny „dla zaspokojenia interesów robotniczych i bez szkody „dla przemysłu. Kongres przeto przypomina o nastę-„pujących żądaniach minimalnych, wystawionych jesz-„cze przez Kongres Paryski z r. 1889 dla wszystkich „robotników bez różnicy płci:

„1) Maksymalny ośmiogodzinny dzień pracy.

„2) Zakaz pracy zarobkowej dzieci poniżej lat 14.

„3) Zakaz pracy nocnej za wyjątkiem wypadków, „gdy ta odbywać się musi ze względów technicznych lub też w interesie dobra publicznego.

„4) Wypoczynek tygodniowy w przeciągu co naj-„mniej 36 godzin bez przerwy.

„5) Zakaz truck systemu.

„6) Zawarowanie prawa koalicji.

„7) Sprawna i skuteczna inspekcja zakładów prze-„mysłowych i rolnych przy współudziale osób wybra-„nych przez robotników.

„Kongres Paryski wywołał wprawdzie konferen-„cje rządów, dotyczące ochrony pracy w r. 1890 w Ber-„linie i w 1900 w Bernie, i zawarto szereg konwencji „dla ochrony pracy. Pomimo jednak wielu pertraktacji „prawodawstwo rozwija się bardzo skąpo, ponieważ kla-„sy panujące w obawie strat przeciwdziałają prawo-„dawstwu ochronnemu, pomimo, że ochrona pracy „w żadnym kraju nie sprowadziła strat w jakiejkolwiek „gałęzi wytwórczości, lecz przeciwnie dała wiele ko-„rzyści kulturze ogólnej i klasie przedsiębiorców, pod-„nosząc zdrowotność i zdolność do pracy robotników.

„Kongres Amsterdamski w r. 1904 celem prze-„ciwdziałania rozwojowi pauperyzmu żądał wprowa-„dzenia instytucji, zarządzanych całkowicie przez ro-„botników, warujących równe prawa robotnikom kra-„jowym i przybyszom z obcych krajów, a udzielających „dostatecznych środków utrzymania i kuracji dla cho-„rych, kalek, inwalidów i starców; instytucji dostar-„czających kobietom w ciąży i położnicom pomocy „niezbędnej dla wydania zdrowego potomstwa i dla „zachowania zdrowia matek, wreszcie instytucji ochra-„niających przed nędzą wdowy, sieroty, bezrobotnych.

„Obowiązujące prawodawstwo robotnicze ochron-„ne i ubezpieczeniowe najzupełniej nie wystarcza po-„wyżej wzmiankowym koniecznym i słusznym żądaniom „robotników. Zwłaszcza pozbawianemi ochrony praw-„nej są robotnicy rolni i leśni. Nowych zdobyczy „oczekiwać można tylko od wytrwałego parcia ro-„botników.

„Dlatego też kongres wzywa robotników wszyst-„kich krajów, pracujących czy to w przemyśle, handlu, „rolnictwie, czy gdzieindziej, do złamania oporu klas „panujących i do zdobycia skutecznej ochrony pracy „drogą nieustannej agitacji, oraz budowy organizacji „klasowych w dziedzinie politycznej i ekonomicznej".

---

6. Inne uchwały kongresu.

Piąta komisja kongresu pod przewodnictwem posła Ellenbogena z Austrji opracowała szereg rezolucji, mających znaczenie manifestacyjne; wyrażają one uczucia Międzynarodówki, wywołane wypadkami polityki bieżącej.

Uchwalono rezolucję w sprawie jedności partji socjalistycznej w poszczególnych krajach. Rezolucja treści podobnej wydana w Amsterdamie w r. 1904 sprowadziła jedność socjalistyczną we Francji. Uchwała w Kopenhadze wydana została z inicjatywy francuskiej w nadziei przyłączenia do zjednoczonej partji francuskiej niektórych grup poza nią stojących i w nadziei, że może się ta uchwała przyczynić do sprowadzenia jedności socjalistycznej w innych krajach.

---

uleciał i tęsknota kołła się, odkrywał się inny, aby się nim rozkoszować — i dręczyć...

Z koła krążących marzeń wytrącił go brzęk rozbitej szklanki, którą w roztargnieniu zrzucił na ziemię. Podejrzliwie rozejrzał się, czy ktoś z obcych nie zwraca na niego uwagi. Zapalił papierosa. Myśli wzięły kierunek odmienny. Reginę zobaczy już po raz ostatni. Nie ulega to wątpliwości. Już ją nudzi, nie dotrzymywała schadzek, stawała się coraz kapryśniejsza, znęcała się nad nim. Nastąpiła już decyzja bez słów: ostatni raz! A co potem? Och, co później z sobą pocznie? Jak żyć? — Nie myśleć! — Jeszcze dni kilka, przyjedzie Regina — ostatni raz — będziemy się żegnali — uroczyście! Jak usnąć na te dni kilka, co uczynić, żeby nie myśleć, nie czuć! Snu, snu kamiennego! Czy nie istnieją sposoby na sen?—Tylko jeden – niezawodny!

Nie myśleć! nie czuć!

W kilka dni później, popołudniu, gdy Sarnecki był pogrążony w półśnie, posłyszał odedrzwi łoskot. Przerażony zerwał się z łóżka. Myśli przelatywały korowodem. Co się stało? Gdzie jestem? Czy to burza? Nasłuchiwał. Spokój.—Co straszniejsze; jawa czy sen? Kiedy się to nareszcie skończy?—Och, jak bezgranicznie jest zmęczony! — Zapukano ponownie. Sarnecki rzucił się ku drzwiom i otworzył je na całą szerokość. W korytarzu stała Regina.

Fiołkowe, niewinne oczy, wątła, regularna twarzyczka, usta, włosy jasne, postać drobna, słońcem jesiennem ozłocona, lotna, ruchliwa, zmienna jak światło gwiazdy...

— Czy pan Sarnecki—Stefan—przyjmuje?—zapytała i ugiąwszy sukni, śmiejąc się, wbiegła do pokoju.

Regina rozproszyła ciemności życia i wartości jego nadawała sens. Niezależnie od woli ponosiła go obca moc, parła go do niej. Przemocy tej poddał się z rozkoszą. Znienacka znalazł się pod działaniem czaru, jakiego doznaje turysta, co z mozołem wdrapując się z głazu na głaz, zduszony zewsząd mgłami, już prawie chory ze zmęczenia, nagle z przełęczy ujrzy granatowe szczyty, czapami śniegów srebrnych okryte, dalekie hale zielone, sinawe, a pod nogami górskich stawów turkusy. Ukląkł przed Reginą i, oparłszy głowę na jej kolanach, rękami obejmował nogi.

— Nie wiem, czy jeszcze śnię, czy żyję rzeczywistością. Jakieś zmory gniotły mnie we śnie, — ale ty przyszłaś do mnie! Jestem szczęśliwy. Upajająca, woń płynie od twoich sukien, od gorącego ciała. Jak gdybyś kwiatem dotknęła mi czoła i wszystek ból odjęłaś. Dla tej jednej chwili warto mi było żyć i cierpieć.

Ona gładziła dłonią jego włosy, twarz.

— Tak tęsknił do mnie—rzekła głosem, podobnym do chrzęstu kwiatów trącających się kielichami.

— Nie mówmy o tem. Minęło już i jeszcze wróci. Teraz godzina jedyna. Jakgdybym dobił do wyspy, dokąd zdążałem śród burzy. — Słońce i cisza wielka

Wydano rezolucję przeciwko karze śmierci, która stosowana jest dziś przedewszystkim jako środek walki reakcji politycznej z bojownikami o wolność.

Trzecia rezolucja wyrażała sympatję i uznanie dla partji w Argientynie, gdzie, pomimo ustroju republikańskiego, panuje najstraszniejszy ucisk proletarjatu przez świeżo wzbogaconą burżuazję, dla której kongres wyraził swą pogardę.

Następna rezolucja dotyczyła panoszącej się po zwycięskiej wojnie w Japonji reakcji. Delegatowi socjalistycznemu z Japonji Kattayamie rząd zabronił wyjazdu odmawiając paszportu, skutkiem czego Japonja w Kopenhadze nie miała przedstawicielstwa.

Na wniosek Armeńczyków wydano rezolucję, dotyczącą sytuacji w Persji, gdzie ruch wolnościowy ma do zwalczenia nie tylko swojską reakcję, lecz i politykę rządu rosyjskiego, który za wszelką cenę dąży do restauracji absolutyzmu w Persji i uprawia podobną politykę w Turcji.

Wydano dalej rezolucję, tyczącą się zniesienia autonomji Finlandji i wyrażającą sympatję dla proletarjatu Hiszpanji jako też i protest przeciw straceniu Ferrera dalej—protest przeciw ograniczaniu azylu i wydawania państwom obcym przestępców politycznych.

Wydano jeszcze dwie uchwały: jedną, protestującą przeciw polityce zaborczej w Marokko, drugą—bardzo ciekawą i ważną, skierowaną do socjalistów tureckich, w której kongres śle pozdrowienia młodemu ruchowi socjalistycznemu w Turcji i, jako wskaźnik polityczny, stawia mu na razie nie ideały demokracji socjalnej, lecz ideały ogólno-demokratyczne; w Turcji bowiem dzisiaj najważniejszą rzeczą jest ugruntowanie zasad niedawno wywalczonej konstytucji i demokratyzacja państwa i społeczeńswa. Rezolucja ta wniesiona przez robotników z Salonik i uzupełniona przez v. Seitza z Austrji po dłuższej dyskusji została jednak przyjęta.

Konferencja kobiet socjalistycznych. Równocześnie z kongresem międzynarodowym odbyła się II-a międzynarodowa konferencja kobiet socjalistycznych; (I-a konferencja odbyła się w r. 1907 w Sztutgarcie również w czasie kongresu). Zjechało się około 100 delegatek od 17-tu narodów świata; z tych 100 delegatek z poza Danji było tylko 60. Prezydowała na konferencji znana działaczka na polu ruchu socjalistycznego wśród kobiet — Klara Zetkin z Niemiec.

Najpierw rozpatrywano sprawę międzynarodowej organizacji ruchu socjalistycznego wśród kobiet, jej wadliwości i środki, zmierzające do udoskonalenia tej organizacji. Na drugim punkcie porządku dziennego postawiono sprawę środków walki o czynne i bierne prawo wyborcze dla kobiet, wreszcie — sprawę opieki prawnej nad matkami i dziećmi.

Wydano rezolucję przeciwko wojnie, za zabezpieczeniem państwowem bytu wdów i sierot i kilka innych.

Organem centralnym ruchu socjalistycznego wśród kobiet pozostała nadal „Gleichheit", sekretarką międzynarodową—Klara Zetkin.

Ruch ten, jak wiadomo ściśle jest skoordynowany z ruchem socjalistycznym ogólnym, a tylko względy natury praktycznej wywołują potrzebę odrębnej organizacji kobiecej.

Inne kongresy międzynarodowe.

Prócz kongresu Międzynarodówki i 2-ej konferencji kobiet socjalistycznych odbył się równocześnie szereg innych kongresów i konferencji w Kopenhadze, a mianowicie: odbył się VII-y kongres międzynarodowy robotników przedsiębiorstw transportowych, III-ia konferencja międzynarodowa mularzy i robotników budowlanych, II-gi kongres międzynarodowy piekarzy i cukierników, a nadto międzynarodowe kongresy i konferencje: młodzieży socjalistycznej, antyalkoholistów socjalistycznych, III-ia konferencja subjektów handlowych, konferencja szewców.

Różne organizacje zawodowe i polityczne, jak widzimy, korzystają z kongresu międzynarodowego ogólnego dla odbycia równocześnie swoich specjalnych konferencji międzynarodowych.

Ed. Michalski.

Morze się ułożyło w błękitne i złote wstęgi i marzy. Leżymy na trawie grubej, pod cieniem palm, pośród kwiatów, nadzy, a ciała nasze, różowe odbijają się w wodzie przeczystej. Szczęście. Zawsze je wzywamy, nie znając imienia, jakiem wołane przychodzi, bo imię to nikomu z ludzi niewiadome. Samo skądś spada na nas, jak śmierć, równie piękne, świetne—nieodgadnione jak piękno.

Musnęła ustami jego ust.

— Dlaczego nie patrzysz na mnie? Gonisz gdzieś oczyma.

— Daj ust jeszcze. Smak napoju bogów musiał być, jak rozkosz twoich ust. Znowu jestem młody i silny. Twoja pieszczota jest winem, które mi krew odświeża. Myślę z podziwem nad skończonością i pięknem wszystkiego, co jest w twojem ciele. Tyś jest kapłanką, żywiącą ogień miłości. Slepi i głusi nazwą cię grzechem, brudem, poczciwcy ścigać cię będą, jako zarazę niosącą, póki im się nie oddasz...

— Stefan!...

— Nie wołaj—Regina. Ty nie wiesz, czem jesteś. Ja tylko. I wiem jeszcze, że mnie już opuścisz niedługo, bo nie twoją rzeczą jest wierność i śluby. Tyś jest królewna-bogini. Spadłaś na mnie, jak promień z zaświatów, dajesz pić rozkosz czystą — i ulecisz, pozostawiając pragnienie nieugaszone. Z tobą odejdzie szczęście. Gdybyś nawet zechciała zostać...

— Zostanę—mały!

— Byłoby to śmiercią nas obojga. Nie łudź mnie, skoro wiesz — Boskie szczęście bogom, nie ludziom, jest dane. Czasami tylko zwilży duszę spaloną człowieka kropla rosy... Czy ty pojmujesz, co się w tej chwili we mnie dzieje? Czy odpadły od ciebie wszystkie troski, nędze, nieszczęścia? Czy czujesz całą podpolitość i nikczemność życia? Czy gotowa jesteś w tej chwili umrzeć z uśmiechem? Więc chodź, znam takie jedno miejsce na Wiśle, wyspę zieloną, na złotym wyrastającą piasku—chodź.

— Sarnecki otoczył Reginę wpół rękami i przyciągał ku sobie namiętnie.

— Chodź, przejdziemy granicę do innego świata. Którzy pozbyli strachu, dojrzeli, aby iść tam na wyższy ból, szczęście bez granic. Wolni...

— Puść mnie, Stefan—wyrywała się z jego objęć. Nie rozumiem cię, ja chcę żyć. Obrzydły dół, robaki—fe—fe.—Puść mnie, puść mnie!

Sarnecki zwolnił rąk, wstał z kolan. Kilkakrotnie wstrząsnął głową, jakgdyby chciał wypędzić świstki myśli.

— Regina!—szepnął pieszczotliwie.

— Niedobry mały, chodź do mnie. O! takie zielone rowy pod oczami. Ładnie się tutaj musiałeś sprawować. Zmarnuje mi się chłopczysko na nic.

(d. c. n.).

LEO BELMONT
i jego stosunek do prasy

(Dokończenie).

Mówiliśmy już wyżej, iż Belmont łączy w sobie zalety, które zwykle wykluczają się wzajemnie — iż jest on harmonijny; ale nadmieniliśmy o *pewnej jednak przewadze strony intelektualnej nad uczuciową*. Dla uczonego jest to zaleta, dla publicysty-bojownika, a poniekąd i dla artysty, może być to wadą. I rzeczywiście: zbyt ostrożne ważenie wszelkich *za i przeciw* każdej sprawy, każdego kierunku, prądu, tłumi bezpośredniość wrażeń, tłumi siłę namiętności; nie pozwala dać się porwać całkowicie, czy to potężnej miłości, czy potężnej nienawiści, nawet w niezrównanej ironji Belmonta tkwi przeważnie intelektualny charakter: podnietą dla niej jest raczej ludzka głupota, niż ludzka złość — i dla tego ironja ta budzi w czytelniku częściej uśmiech niż gniew. Znakomite cięcia i zwroty Belmonta podobniejsze są nieraz do mistrzowstwa fechtunkowego, do godzin sali, niż do żywiołowej tragicznej walki. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że Belmont nie posiada odwagi: owszem wiele jego prac (np. konferencja o Rabagasie) odznacza się wprost zdumiewającą odwagą; to też te jego „fechtunki" zaprowadziły go parę razy do więzienia. Ostatniemi zaś czasy, jak to już wspomnieliśmy, sięgają coraz głębiej w sferę uczuciową. [1])

W związku z tą przewagą intelektualizmu nad uczuciowością Belmonta jest jego hiperkrytycyzm logiczny względem Przybyszewskiego (coś jak — Tołstoja względem Szekspira); że alogizm i że tak powiem fikcjonizm Przybyszewskiego może wywierać zły wpływ na nasze i tak mało logiczne oraz skłonne do atawizmu społeczeństwo, to prawda; ale pod tym względem trzebaby było załatwić rachunki naprzód z wielu innemi naszemi pisarzami bardziej „sympatycznemi" i bardziej cenionemi przez nasze społeczeństwo—bardziej wpływowemi, niż Przybyszewski, o którym sam Belmont w innem miejscu mówił, że „wybił szyby pruderyjne w przyzwoitym salonie naszej literatury, która przed nim służyła tylko dla piętnastoletnich panienek". Zresztą Przybyszewskiego dość już gryzły i wygryzły różne moralizujące kanalje—te same mniej więcej co później zaczęły gryść Belmonta.—Załatwmy się naprzód z niemi.

Od tych mikroskopowych wad Belmonta, które zresztą są wadami przeważnie tylko z naszego indywidualnego stanowiska; z innego zaś—np. ze stanowiska naszej prasy, praktycznej polityki, akademickości, mogą być nawet zaletami, przejdźmy do wad miakroskopowych — do tych wad, które Belmontowi zarzucają „etyczni" dziennikarze i „moralni" filistrowie.

Belmont—gdaczą oni—jest zakochany w sobie, chwali sam siebie, reklamuje się; ściąga publiczność na swe odczyty sensacyjnemi tytułami i t. p.

Belmont nie jest bynajmniej zakochany *w sobie*: on kocha tylko swoje idee, swoje utwory; a to jest zupełnie co innego: miłość dla swych dzieci duchowych jest czemś równie naturalnem jak miłość do dzieci cielesnych; przytem miłość do swych utworów jest jednym z najważniejszych warunków ich wartości.

Belmont się „chwali reklamuje".—Na ten zarzut Belmont sam dobrze odpowiada pewnemu wydawcy: *ja* piszę to o moich pracach, co *wyście* pisać o nich powinni, a nie spełniacie tej powinności; że zaś ów wydawca i jemu podobni utrzymują swe pisma reklamowaniem różnych firm przemysłowych i handlowych, więc też Belmont powiada im ironicznie: że wolałby reklamować tak jak oni np. ostatnie nowości Hersego, zamiast ostatnich nowości własnych i proponuje im nawet zamianę: ofiaruje się wziąć na siebie ich ciężar społeczny—reklamowanie różnych Hersów, a im odstępuje reklamowanie swoich pism. — Ale naturalnie oni nie tacy głupi!

Człowiek tych zdolności, takiej pracy, takiej prawości, takiej odwagi cywilnej społeczeństwo powinno jaknajbardziej cenić i tą ceną utrwalić w nim siły i wiarę w skuteczność jego pracy; tymczasem, jak widzieliśmy wyżej społeczeństwo to w osobie prasy albo rzuca się na niego bezczelnie i głupio, albo stara się go zabić konsekwentnem milczeniem. I czyż można się dziwić, że człowiek taki, nie oceniony, jak na to zasługuje, jest wciąż pobudzany, zmuszany do wykazywania samemu swych zasług — że, gdy dokoła nicość umysłowa i moralna reklamuje się usłużnie nawzajem i narzuca się społeczeństwu — że on sam by nie zniknąć całkowicie w tam bagnisku, reklamuje się i narzuca publiczności. Autoreklama gdy odpowiada rzeczywistości, gdy nie jest kłamliwa, może być pożyteczna nie tylko dla reklamującego się, ale i dla, źle skądinąd informowanego, społeczeństwa; może ona tylko być niemiłą dla tego, kto jest do tej autoreklamy zmuszony, ale wina tego spada na samo społeczeństwo, a zwłaszcza na perfidną prasę. Wten sposób Belmont paraliżuje usiłowania tych co sami reklamując się w sposób zamaskowany, chcą zabić milczeniem ludzi prawdziwie zasłużonych—paraliżuje a przytem demaskuje i ukazuje prawdziwe oblicza tych „moralizatorów" — Stąd są oni na niego tacy wściekli. — Prasa chciała wystawić między Belmontem a społeczeństwem mur lekceważenia lub milczenia; Belmont stara się o przebicie tego muru lub podkopanie się pod ń. Wielce charakterystyczne dla psychiki Belmonta jest to, co mówi on w pełnym głębokiej ironji artykule „Buda pana Reichmana": p. Reichman uczynił mu „zaszczyt" wzywając do wygłoszenia w swej „budzie" wielce drażliwej w czasie ruchu wolnościowego konferencji w Rabagasie (jako wstępu do antyrewolucyjnej sztuki Sardou), ale początkowo zawahał się i naznaczywszy termin, odłożył go. — Wielki pan Reichman lekceważył małego Belmonta (wolałby naturalnie p. Rabskiego, ale ten się nie zgodził). Belmont odrzekł na to „a to się akurat wybornie składa, bo dziś właśnie mam chrypkę", i tak to objaśnia: „nie obraziłem się — człowiek, który idzie naprzód i pracuje w postępowych pismach przez lat 20 bez echa, musi być cierpliwy — jest czas obrażania się i czas nieobrażania się powiedziałby Salomon. — Póki ten pierwszy nie nadejdzie, należy mieć krew zimną i robić taką minę, jakby człowieka nic nie urażało, bo wszystko układa się po jego myśli".

Tym „podkopywaniem się" są właśnie tak za złe brane Belmontowi przez „przyzwoitą" prasę sensacyjne tytuły jego niektórych odczytów: „jak robić pieniądze";—„o upadłej kobiecie";—„małżeństwo i prostytucja" i t. p. Belmont obiera takie tytuły zupełnie świadomie i jawnie: „pozwolę: sobie, mówi on do słuchaczy, pochlubić się przed wami pewnym znakomitym pomysłem—o, nie tem, że podam wam własną oryginalną treść—bo to jest drobnostka—zasługę swoją widzę w czem innem: ja wymyśliłem doskonały afisz—tytuł, który zapełnia doszczętnie filharmonję — wymyśliłem tytuł: „o upadłej kobiecie" i „małżeństwo i prostytucja" ażeby wam powiedzieć: o filozofji i poezji. — Lecz abyście nie czuli się oszukanemi, będę mówił z obowiązku, *dla przyzwoitości* także i o „*prostytucji*."

Postawa człowieka wyższego wobec zapoznającego go tłumu psychicznego może być dwojaka: albo dumne pogardliwe odosobnienie, albo narzucenie się temu tłumowi gwałtem, czy podstępem; pierwsza jest estetyczną, druga — społecznie pożyteczną. Pierwszą drogą idee zwykle dopiero późno przechodzą w tłum,

[1]) Najlepszą ilustracją tego może służyć dodatek nadzwyczajny do „Wolnego Słowa" № 104 i 105, wydany już po napisaniu niniejszego naszego artykułu.

wniesione tam (i często w okaleczałej formie) przez innych. Drugą drogą wpływ udziela się szybciej i bezpośrednio.

Belmont, dzięki temu właśnie, że pokonał w sobie wstręt do narzucania się tłumowi lub pociągania go podstępem ku rzeczom poważnym, wywrze u nas zapewne większy wpływ na życie, niż wielu innych pisarzy z tą samą, co on, odległością duchową od tłumu.

Wacław Nałkowski.

Mahâ-Bhârata.

I.

Badanie *Mahâ-Bhâraty* przedstawia niepospolite trudności—nietylko ze względu na kolosalne rozmiary tego poematu—i nietylko ze względu na jego pozornie chaotyczną budowę i tysiączne sprzeczności w nim zawarte, ale przedewszystkiem dlatego, że europejczyk przystępuje do tych badań ze swoją metodą logiczną, ze swojemi wymaganiami literacko-filozoficznemi—i tego właśnie szuka w *Mahâ-Bhâracie*.

Tymczasem umysł indyjski ma tak swoiste drogi i tak niespodziewane intuicje, że nasz uporządkowany system myślenia, nasze poczucie symetrji i t d. jest tu zupełnie niewystarczające.

W Mahâ-Bhâracie nagromadziło się tyle pierwiastków, że stanowi ona nietylko epos, ale i cały szereg innych kompleksów, które zazwyczaj służą za motyw dzieł osobnych. Studja nad M. B. dotychczas nie ustaliły sobie jednolitej zasady. Każdy niemal uczony wychodzi z innego stanowiska, każdy w europejskich sposobach myślenia szuka drogi do opanowania przedmiotu. Nawet młodzi hindowie pod wpływem szkół angielskich ulegają tej zarazie.

To też zdania są bardzo różne na temat każdej kwestji, jaką w tej sprawie można postawić.

Kto napisał *Mâha Bhâratę?* Kiedy powstała? Jakim sposom została ułożoną? Czem ona jest i z jakich składa się pierwiastków?

Oto pytania zasadnicze, z których każde może mieć jeszcze kilka drugorzędnych podpytań.

Są nadto pytania dotyczące metody badania: Czy naprzód badać pojedyncze szczegóły, a potem całość? czy też właśnie naodwrót?

Czy traktować M. B. jako zbiór baśni czy też jako zbiór nauk prawno-moralnych? Jeżeli tak, to co jest pierwszem a co drugiem? czy *Mahâ-Bhârata* naprzód była epopeją, a potem księgą nauczającą *(dharmaśastrą)* czy naodwrót? Kiedy i jak nastąpiła ta zmiana?

Na każde z tych pytań mamy sprzeczne i niezgodne odpowiedzi.

Są tacy, którzy twierdzą, że *Mahâ-Bh.* powstała w VII—VI w przed Chr., gdy np. Ellis przenosi ją do XVI w. po Chr. Jedni widzą w niej dzieło po stokroć przerabiane, układane, klejone (jak M. Müller, Hopkins, A. Holtzman), inni, jak G. Bühler lub Dahlman przeciwnie — dzieło jednolite i zamknięte w sobie. Jedni dopatrują się w niem zdarzeń historycznych, inni alegorji.

Wszystkie teorje, dotyczące powstania M. B., dadzą się zredukować do dwuch krańcowo sprzecznych, które wygłosili z jednej strony prof. Adolf Holtzman, z drugiej Józef Dahlman.

Rozważymy naprzód pogląd A. Holtzmana. Dzieło jego nosi tytuł: *Das Mahâbâhrata und seine Theile.* W czterech częściach obejmuje ono: 1) streszczenie poematu, w pewien specjalny sposób oświetlone; 2) dzieje gienezy poematu i analizę jego budowy; 3) rozważa M. B. w całości; 4) przedstawia losy poematu w Azji i w Europie (przekłady, historja badań).

M. B. opiewa starożytną walkę dwuch pokrewnych rodów — Kuru i Pandu — o panowanie nad północno-wschodnią częścią Indji. Wojna ta kończy się klęską rodu Kuru na rzecz Pandu — na polu Kurukszetra.

Jest to razem Iliada i Tebaida indyjska, a na jej tle mamy cały szereg epizodów wtrąconych jeden w drugi — w sposób niepokojący, jednakże mimo pozorny bezład— budowa poematu jest niezmiernie kunsztowna—i pomimo liczne sprzeczności—całość pełna harmonji, oczywiście nie w znaczeniu greckiem, ale harmonji specyficznej, indyjskiej, w której niesymetryczność stanowi system. Np. księga XII M. B. liczy 40,000 wierszy, a księga XVII nie dochodzi pięciuset.

Całość liczy koło 200,000 wierszy, podzielonych na 18 ksiąg. Rzeczą jest oczywistą, że dzieło takie nie może być utworem jednego człowieka — i niewątpliwie rozmiary tej księgi nie zawsze były takie jak dzisiaj. W samej M. B. mówi się: „Różni poeci w różnych czasach śpiewali ten poemat; jedni go zaczynali od Manu, inni od Astiki.... i t. d. Była M. B. w 8,800 *ślokach* (t. j. dwuwierszach), w *24,000 ślok.* w 43,000 *ślok.*"—To znaczy M. B. stopniowo rosła i że coraz nowe pokolenia nowe wkłady włączały do jej korpusu.

I nie tylko zmieniały ją co do masy, ale też co do idei.

Zdaniem A. Holtzmana każde pokolenie w inny sposób obrabiało M. B. Poemat ten liczy się do ksiąg świętych, ale nie był nietykalny, jak Weda, gdzie każdy wyraz ważono i komentowano po sto razy. *Mahâ Bh.* była księgą świętą dla sfer, którym Wedy czytać nie było wolno. Był to poemat świecki—i bynajmniej nie nietykalny. Można go było zmieniać, rozszerzać i uzupełniać bez końca.

M. B. zbudowana jest w ten sposób, że opowiada ją Vaisampayana, pieśniarz, rapsod, ale Vaisampayana powtarza to, czego się nauczył od właściwego twórcy poematu, — Vyâsy t. j. układacza, redaktora; a znów układ Vaisampayany powtarza Sauti. Innemi słowy Sauti powtarza za Vaisampayaną poemat Vyâsy.

M. B. wylicza cały szereg uczniów Vyâsy (jak Dżaimini, Sumantu i in.), a co się tyczy epizodów wcielonych w opowiadanie — to wszędzie zaznaczone jest imię autora: Brhadaśva rzecze, Markandeya rzecze — mówi główny autor M. B., gdy przytacza jaki poemat. Nie idzie tu oczywiście o to, czy istotnie autorem danego fragmentu jest wieszczek, w tekscie wymieniony, ale o to, że w Indjach zawsze było poczucie odrębnego autorstwa różnych części *Mahâ-Bh.* Tak np. prawie cały dział nauczający (księga wykładów) stanowi niby opowieść bramina-wojownika Bhiszmy.

Słowem rozmaitość gienezy M. B. uderza w oczy, a jednak J. Dahlman niemniej kunsztownie dowodzi jej jednolitości. Styl M. B. jest nierówny: czasami epicko-lotny, czasem dydaktyczno-ciężki, a jeszcze i tu mamy z jednej strony cudownie płomienny ton *Bhagavadgity*, z drugiej suchą scholastykę *Anugity*. Język niejednakowy: obok klasycznego sanskrytu liczne miejsca w mowie ludowej; trafiają się wyrazy cudzoziemskie—perskie, greckie, [5]) arabskie Wszystko to świadczy, że M. B. nie może być dziełem jednego człowieka i jednego okresu.

---

[5]) Pr. Ludwig wylicza niektóre wyrazy greckie i in. bardzo późne w Indjach, a spotykane w MB. *Khalinau* — wędzidło, Χαλινό; — *surunga* (fletnia) — σύςιγζ, *Kalama* (pióro) — χαλαμος. — Bóg wojny zowie się *Skanda*, co ma być przeróbką imienia Aleksander. — Podług Holtzmana imiona królów *Bhagadatta* i *Dattamitra* to grecy: Apollodotos i Demetrios.

Holtzman twierdzi, że uważany za autora M. B. Vyasâ, zastał materjał poematu już gotowy — i tylko ułożył go odpowiednio do smaku swej epoki albo też interesów kastowych warstwy kapłańskiej.

Początki formacji M. B. sięgają VIII—VII w. przed Chr. („przed Aleksandrem W., przed Buddą", jak mówi Maks Müller), a kończą się w XI—XII w. po Chr. Innemi słowy M. B. powstawała w ciągu 1200-1400 lat. W tym czasie jej ostateczna redakcja została zamknięta, jakkolwiek i dziś gęślarze pozwalają sobie na zmiany i przeróbki (¹) Do dziś bowiem w Indjach istnieje klasa rapsodów, którzy umieją po 40-50.000 wierszy na pamięć — i śród niepiśmiennej ludności szerzą znajomość wielkich eposów indyjskich. W czasie pewnych świąt narodowych M. B. jest czytana w świątyniach.

Nie jest rzeczą trudną odróżnić starsze fragmenty od nowych w sprawie pojęć o bogach. Stary Olimp wedycki różni się od braminizmu, a jeszcze bardziej hinduizmu.

W M. B. mamy epizody, gdzie trwa stara generacja panów świata: Indra—Agni—Varuna - i Jama, gdy później bogowie ci grają rolę podrzędną. — Zamiast Indry występuje jako główny mocarz boski — Wisznu, zwany w Rigwedzie Upa-indrą t. j. młodszym Indrą. Jamę i Agni—zastępuje Siwa a Varuna w Bhagavadgicie nazwany jest największą *bestją* morską, w rodzaju Lewiatana.

W nowszych fragmentach główni bogowie są: Wisznu — bóg zachowania i Siwa—bóg zniszczenia. Nadto występuje pierwiastek twórczy—Brahma, który jednakże w starciu Wisznu z Siwą—trwa na stanowisku obojętnem i rychło traci osobistość, zmienia się w bóstwo oderwane, w pierwiastek metafizyczny, *brahma* w rodz. nijakim, w *sat* czyli *ens*. Brahma w całych Indjach ma tylko jedną świątynię, a w ceremonjach i kulcie nikt się o niego nie troszczy W obrzędach figurują tylko Wisznu i Siwa. Oni jedni mają czcicieli; mają wielką liczbę *avatarów*—wcieleń i po tysiącu imion.

Między bogiem Wisznu a Siwą jest przeciwieństwo i walka. Każdy też z nich ma swoich wyłącznych czcicieli i do dziś jeszcze Indje dzielą się na dwie główne sekty: Wisznuitów i Siwaitów. Dla pierwszych głównym i najwyższym bogiem jest Wisznu, dla drugich—Siwa. I w M. B. mamy epizody, w których głównie opiewa się kult Wisznu i inne, poświęcone Siwie.

Mądrość braminów polegała na tem, że połączyli w jedność świetlany kult Wisznu i demoniczny kult Siwy—i zrównali, utożsamili obu bogów i obie sekty.

Holtzman widzi w M. B. kolejne opracowania w duchu Wisznickim, w duchu Siwaickim, w duchu wreszcie pogodzenia Wisznuizmu z Siwaizmem.

Zasadniczy jednak motyw przeróbki całego poematu — od góry do dołu - jest to podług Holtzmana walka z Buddyzmem.

Słabym punktem teorji Holtzmana, pomijając już niepomiernie długą liczbę lat powstawania M. B. - jest przypuszczenie przeróbki (buddyjskiej) jakiejś M. B. pierwotnej, której w żaden sposób nie można sobie wyobrazić, ani charakteru jej określić.

Jest to pewne X, o którem niewiadomo, czy w w. VII — VI było gotowe czy nie, ale Holtzman tego X nie rozważa. Mówi on, że począwszy od VII w. przed Chr. do IX po Chr. panował w Indjach Buddyzm. Ponieważ królowie buddyjscy, jak Czandragupta(²) i Asoka byli to monarchowie w stylu Ludwika XIV—popierali oni na swoich dworach sztukę poetycką — i nakazali pierwszą przeróbkę M. B. w duchu buddyjskim. Kiedy zaś braminizm zwyciężył w Indjach—zaczęto całą M. B. przerabiać w duchu antibuddyjskim *ad majorem gloriam Wisznu*. Pierwiastkowo kult Buddy mieszał się w tym nowym układzie z kultem Siwy—i stąd pochodził antagonizm czcicieli Wisznu a Siwy. Ostatecznie kult Wisznu—po zupełnem zgładzeniu śladów Buddyzmu w Indjach właściwych — pojednał się z kultem Siwy.—Cała ta historja wojen religijnych w Indjach — daje się—zdaniem Holtzmana — prześledzić w Mahâ-Bhâracie.

(d. c. n.) Antoni Lange.

¹) Za naszych czasów M. B. śród ogółu ludności czyta się w językach nowoindyjskich.

W pogoni za prawdą.

„Źli są na mnie ludzie, uciekinierem zwie mnie każdy, ktokolwiek przebył ze mną kiedyś część mej drogi życiowej. Mnie jednak oni wydają się zdrajcami. Kto z nas ma słuszność: oni czy ja?..." „Po ścieżce stromej, ufając tylko własnym oczom i własnej sile, doszłam aż tutaj, daleko, daleko od owych ster życia, w których nie zbłądzi nawet bezmyślny, dzięki słupom wytycznym tradycji i zwyczaju. Dokądże dalej? Czy w dolinę, skąd widać słupy? Czy coraz wyżej po drodze przez siebie obranej?". ¹)

Szczerość ogromna bije z tych niepokojów dojrzałej czterdziestoletniej kobiety. Przegląda się w nich cała natura Lily Braunowej, czujna, nieokiełznana, samodzielna i w samodzielności swej tak bardzo słaba. Dziś, kiedy przed nami i przed synem swym spowiedź życia odbywa, jest tą samą żywą, zapalną, czujną na każdy powiew uczuć i myśli dziewczynką, jaką ją widzimy w szlacheckim domu rodziców. Po babce wzięła pochodzenie królewskie, tradycje dworu wejmarskiego, zmysły gorące, wyobraźnię fantastyczną i kult dla piękna. Po ojcu oddziedziczyła upór i samowolę junkrów pruskich, ich próżność i gwałtowność. Dodajmy do tego wychowanie, jakie odbiera jedynaczka szlachecka u nas i gdzieindziej: religijność steoretypowa, trochę nienawistnej muzyki, t. zw. „przedmioty" wykładane przez prywatnego profesora pod czujnem okiem macierzyńskiem, a ponad wszystkiem górująca zasada „dobrych manier" i panowania nad sobą. Śliczne, czarnowłose i czarnookie dziecko budziło zachwyt powszechny wdziękiem urody i talentem wierszowania. Ukochany a tyle prześladowany świat baśni rozszerzył szybko swój widnokrąg dzięki tajemnie czytanym książkom, w których wciąż powtarzała się miłość, ta słodka, cudna, wyśniona miłość Lohengrina-łabędzia dla Elsy-królewny. A potem przyszło to, co tak często powtarza się u dziewcząt przedwcześnie rozwiniętych fizycznie i umysłowo: ze snów i marzeń dziecinnych, ze świata szlachetnych rycerzy i ich nieziemskich kochanek wyłoniły się przeczucia purpurowe, pytania i niepokoje dziewczęce. I jak zwykle, odpowiedzi na nie udzieliła—panna służąca. Forma i treść tych objaśnień na natury wrażliwe działa przygnębiająco, zmysłowe — jeszcze bardziej podnieca. Alicja von Klewe była jednem i drugiem, powstał w niej chaos krwi i duszy. I znowu tradycjonalny sposób rozwiązania trudności wychowawczych, spiętrzonych przed przeciętną matką, dał nieoczekiwany rezultat. Przewodnik duchowy, który miał poprowadzić owieczkę zbłąkaną, oschłością dogmatu, niezrozumieniem powierzonej mu duszy wtrącił ją w przepaść zwątpień religijnych. Wchodząc w świat, jako panna przedwcześnie dorosła, Alicja miała w sobie ugruntowaną niewiarę w dogmaty religijne, bunt usta-

¹) Lily Braun. Memoiren einer Sozialistin. Lehrjahre. Monachjum. Albert Langen.

wiczny przeciw cnotom rodziny burżuazyjnej — i wielkie, bezbrzeżne pragnienie życia.

W pięknej pułkownikównie kochali się wszyscy: oficerowie, nauczyciele, wielcy obszarnicy i ubodzy studenci. Z przedziwną pogodą i prostotą, powiedziałabym nawet, z pewną dozą zadowolenia, opowiada pani Braun o swoich ówczesnych zwycięstwach i o swej kokieterji. Nie wierzyła w powołanie, jakie jej jedynie wskazywano: zamążpójście, ale całą potęgą rozkołysanej wyobraźni i zgorączkowanych zmysłów — czekała jego—wybrańca i rycerza. A tymczasem wskutek coraz to nowych awansów ojca, przenosiła się z Prus zachodnich do Poznania, z Poznania do Meklerburgji, skąd znów do Wrocławia, wreszcie do Westfalji. Z wielką, przeraźliwą otchłanią nędzy, zetknęła się pierwszy raz wśród nas — którzyśmy najubożsi z najuboższych—w Poznaniu. Smierć, brud, nędza splotły się w jej umyśle z pojęciem ludności polskiej. Przemoc i gwałt, dokonany przez Fryderyka na Polakach, były iskierką dla jej politycznej „nieprawomyślności".

Ale odruchowe współczucie dla tych, co cierpią tłumiło za każdym razem otoczenie i zrodzona żądza użycia, pogoń za osobistem szczęściem, wymagania sfery i stosunków. Zjawił się wreszcie i on, ów rycerz wyśniony — przybrany oczywiście w mundur huzara i tytuł księcia z domu panującego. Ale ona, córka jenerała dywizji — nie miała posagu; on zaś miał dość na kochanki, lecz zamało na ożenek. A że rycerz pruski jest dość szlachetny aby nie uczynić kochanką swą panny z „zacnego" t. zn. równego mu niemal stanowiskiem domu, więc—każde poszło w swoją stronę. W dziewczynie załamało się to, co dotąd stanowiło treść jej życia wewnętrznego. Zaczęła szukać innych celów: próbowała zapomnieć w wirze zabaw, w poświęceniu dla swoich, w pracy literackiej, która otwierała jej drogę do sławy i do zaszczytów dworskich. Weimar, którego ozdobą była niegdyś babka Alicji, przyjaciółka i powiernica Goethego, z otwartemi ramionami przyjął wnuczkę, uroczą i utalentowaną. Ale jej trzeba było żywej idei, nowej sztuki, młodych talentów: w atmosferze archiwów i wielkich wspomnień było jej nieswojsko i ciężko.

Były to czasy dla Niemiec przełomowe; w polityce upadek Bismarka, nowy kurs młodego cesarza który, zerwawszy z dawnemi konserwatystami, tworzył właśnie stokroć gorszą własną reakcję i w literaturze— nowe gwiazdy na firmamencie: Sudermann, Hauptman pisarze północni i wschodni, a tuż obok najmłodsi m. i. Przybyszewski, który wówczas pisał tylko po niemiecku); w życiu społecznem potężny wzrost poglądów Marksa, jego współcześni—Engels i Liebknecht wraz z Beblem prowadzący klasę robotniczą do przebudowy zmurszałych urządzeń. Wszędzie życie — kipiące, bujne, życie wielkich haseł, wielkich celów. A na jego tle dwie postacie, przypominające pierwszych wyznawców Chrystusa stałością swych wierzeń, słodyczą swych charakterów, prostotą i przenikliwością umysłów: neo-chrześcijanin, von Egidy, człowiek o niezwykłej naiwności i wierze w ludzi mimo doświadczeń przeżytych jako oficer pruski; i profesor uniwersytetu berlińskiego von Giżycki, duch silny w słabem ciele przykutem do wózka paralityka, głoszący potrzebę odrodzenia etycznego. Wykładami swemi o etyce społecznej kształcił on tłumnie skupioną koło siebie młodzież; założył na wzór angielskich i amerykańskich niemieckie towarzystwo ruchu etycznego i pismo pod tym samym tytułem. Sympatja i przyjaźń, jakie się zadzierżgnęły między uczonym działaczem społecznym a panną v. Klewe, wskazały jej dawno przeczuwaną drogę pracy i obowiązku. Ona to mimo zaciętych przeszkód ze strony rodziny była jedną ze współzałożycielek nowego stowarzyszenia; ona została współredaktorką pisma; ona poszła z nową ewangielją do śpiących dotąd stowarzyszeń kobiecych, zbudziła do życia pismo „Die Frauenbewegung." A żadne jej wystąpienie publiczne — piórem czy słowem—nie cofało się przed żadnemi względami, nie szukała popularności, nie schlebiała nikomu; z całą bezwzględnością natury żywiołowej, raz powziąwszy pewne przekonanie, kopała przepaść nieprzebytą między sobą a temi, którzy ją kochali i których ona kochała. Przed burzami rodzinnemi, przed gorzkiemi wymówkami i zarzutem hańby zbudowała sobie przystań zaciszną, stworzyła własny, dziwny, wzruszający dom rodzinny: wyszła za mąż za profesora Giżyckiego, o którym wiedziała, iż nigdy mężem jej nie będzie. Była mu dzielną towarzyszką w pracy aż do śmierci, stworzyła mu, jak on sam mówił, raj na ziemi, wykonała jego testament duchowy po zgonie. Z nim wespół przeżywała rozwój jego idei etycznych, coraz głębiej sięgających w zło społeczeństwa istniejącego. Profesor uniwersytetu cesarskiego, honorowany i czczony na zgromadzeniach robotniczych, bezwględny w piętnowaniu wyzysku i przemocy stawał się niemożliwy: śmierć uwolniła go od powikłań z władzami. Młoda, bardziej od niego burzliwa natura jego żony musiała przejść przez wszystkie stopnie buntu. Rodzina się jej wyrzekła; dawni znajomi odwracali się z pogardą lub czynili z niej cel swych drwinek, nowe współtowarzyszki idei, panie radczynie i panny doktorki, ze stowarzyszeń kobiecych, dotknięte w swych uczuciach mieszczańskich jej sympatjami proletarjackiemi, drżące przed każdą nową myślą, przed każdem śmielszem słowem, wprędce zmusiły ją do uroczystego pożegnania burżuazyjnego ruchu feministycznego. Ruch etyczny, coraz bardziej zabagniany przez muł lojalności politycznej i egoizmu klasowego, krępował jej swobodę. Śmierć profesora pozbawiła panią Giżycką najlepszego przyjaciela, kierownika nie było jej już potrzeba. Silna własną głębią duchową, własnemi z trudem zdobytemi ideałami odrodzonej ludzkości, w końcu swych pamiętników, obejmujących „lata przygotowania", żegna wszystkie mary dzieciństwa i młodości.

Giżycka odnalazła swą młodość: w wirze walk partyjnych, w pełnej zaparciu propagandzie lepszego jutra dla mas głodnych i ciemnych, w pracy literackiej i naukowej, poświęconej tym samym masom. Potrzeba pracy umysłowej znalazła ujście w licznych artykułach, w projektach gospodarstw zrzeszonych, które zdjęłyby brzemię trudów gospodarskich z bark kobiety, wreszcie w szeroko pomyślanem dziele p. t: „Kwestja kobieca", która wywołała powódź polemik i omówień. I serce, gorące, tętniące krwią serce, nie poprzestało na pełnej altruizmu pracy dla innych. Henryk Braun, ekonomista, redaktor jednego z najpoważniejszych czasopism poświęconych polityce społecznej, dał jej szczęście uczucia wielkiego, odwzajemnionego i trwałego.

„W noc świętojańską, która go jej dała, w noc świętojańską, gdy na wzgórzach okolicznych ognie płoną, w noc świętojańską, kiedy zmartwychwstaje wszystko, cokolwiek na żywot wieczny zasługuje, wskrzesza ona widma przeszłości".

W ten sposób powstała ogromnie kobieca, może nawet zbyt rozwlekła książka, z której możnaby trzy lub cztery wykroić. Pierwszą poleciłabym wszystkim matkom i ojcom, dla których przebudzenie wiosny — zapewne skutkiem nienormalnie krótkiej pamięci — jest wynaturzeniem godnem potępienia; drugą — wygodnisiom, którzy wszystkie zwątpienia i walki wewnętrzne młodzieży odsyłają do spowiedników; trzecią — ciekawym dziejów ruchu umysłowo-społecznego w Niemczech; — całość mimo podtytułu „powieść", odbiega tak od przeciętnego romansu wirów sercowych malowanych na tle pseudo-społecznem, jak różni się postać kobiety-przyszłości Lily Braunowej od słodko-pospolitych aniołów ognisk domowych. M. B.

Sztuka niemiecka w Paryżu.

Niewątpliwie największą atrakcją ostatniego Salonu jest wystawa bawarskiej sztuki dekoracyjnej.

Niemcy i sztuka dekoracyjna! Przed dziesięciu laty byłby to jeszcze paradoks. Zły smak był atrybutem niemieckości. Po roku siedemdziesiątym smak i gust zbogaconego gwałtownie sklepikarza wsparty na profesorskim historyzmie dobijał w Niemczech ostatki sztuki dekoracyjnej, uratowanej z czasów dobrego mieszczańskiego klasycyzmu. I jeszcze dziesięć lat temu sztuka stosowana niemiecka gubiła się w najbardziej bezsensownych i niekonstrukcyjnych secesjach wiedeńskiego czy monachijskiego stempla. Dziś śmiało powiedzieć można, że nowa sztuka stosowana istnieje i rozwija się logicznie tylko w Niemczech. Francja nie tworzy w tej dziedzinie nic nowego, przeważnie błąka się po secesyjnych manowcach „szkoły“ z Nancy, dyskredytującej francuski dobry smak zarówno na wystawie w Brukseli, jak i w obecnym salonie; nieliczne szczęśliwe próby nowego stylu dekoracyjnego potwierdzają tylko fakt, do jakiego stopnia wielka tradycja francuskich stylów ciąży na dzisiejszem pokoleniu.

Niemcy to naród najbardziej zależny od swoich prowodyrów, profesorów i schulmeistrów. Być może cała dzisiejsza wielkość niemieckich sukcesów na każdem polu opiera się głównie na ich doskonałych metodach. „Die deutsche Zucht ist die beste“. Niemiec daje się najlepiej wychować, albo jak mówi Nietzsche, zawsze potrzebuje wzoru. Rozwój dzisiejszej niemieckiej sztuki dekoracyjnej nie jest wytworem narodowym, emanacją woli i gustu narodowego, ale rezultatem wysiłków niewielkiej grupy bardzo zdolnych i sprawie oddanych artystów i architektów, którzy potrafili, w zadziwiająco krótkim czasie, wychować całe zastępy ludzi pracujących podług ich idei, a tem samem zapoczątkować nowy styl, styl par excellence mieszczański, bez ludowych domieszek.

Zadziwiająca jest dyscyplina, jaka panuje we wszystkich pokojach monachijskiej grupy artystów. Zrozumiano tu, że wszelki artyzm polega na absolutnej konieczności rzeczy, że przypadek jest wrogi sztuce, że pokój może być takiem samem dziełem sztuki, jak obraz czy rzeźba, że harmonja linji i barwy jest pierwszym warunkiem dekoracji. Zrozumiano zresztą tylko stare prawdy, że mebel, obraz, czy dywan musi pozostawać w określonym stosunku do ścian pokoju, do siły oświetlenia, do barwy obicia i do przeznaczenia ubikacji. Jeżeli nie osiągnięto tu jeszcze takiej doskonałości, jak naprz. w stylu rokoko, gdzie każdy najniklejszy sprzęt, każdy bibelot wiąże się organicznie z całością, to przedewszystkiem dlatego, że nowy ten styl jest dopiero początkiem i pierwszą poważną próbą, a nie ostatniem słowem i że styl nie może narodzić się odrazu, jak Minerwa z głowy Jowisza, ale tworzyć musi się powoli i prawie niepostrzeżenie. Styl nie jest wytworem fantazji artysty, ale przetworem zarodków kiełkujących już w stylu poprzednim. Przyglądając się tej nowej sztuce stosowanej, mimowoli szukamy jej rodowodu, jej tradycji, i... nie bez zdziwienia konstatujemy, że artyści monachijscy opierają się bądź o klasycyzm, bądź o empire czy directoire, tłumacząc często starą formę na język nowych wymagań estetycznych.

Salon wykonany podług wzorów p. Teodora Weila, zarówno pod względem architektonicznym jak i skutkiem doboru materjału, a nawet takich szczegółów, jak owalna forma luster i muślinowe firanki, przypomina bardzo francuski gust z początku XIX wieku. Również buduar zdradza reminiscencje z tego samego czasu. Wszystkie pokoje umeblowane do najmniejszych szczegółów z ogromnym nakładem pracy i pieniędzy, wykonane z najlepszego materjału, dekorowane obrazami najpierwszych malarzy monachijskich ostatniej i przedostatniej doby, dowodzą, że Niemcom chodziło tu (zarówno jak w Brukseli) o punkt honoru, o zamanifestowanie swych najszczęśliwszych wysiłków artystycznych, popieranych usilnie przez rząd bawarski.

Nie mniej ciekawe są modele monachijskiego „Künstlertheater“, który wystawia doskonałą widownię amfiteatralną (bez lóż, złoceń i przylepianych dekoracji) wyłożoną ciemno-żółtem drzewem, prostą i wytworną. Niezwykle artystyczne są też modele inscenizacji Hamleta, Fausta i „Ptaków“ Arystofanesa, podług teorji G. Craig'a bez ramp, tylko z górnem swiatłem, możliwie syntetycznie i nastrojowo ujęte.

Rozwój sztuki dekoracyjnej w Niemczech dowodzi raz jeszcze, jak sztuka zależną jest od potrzeb środowiska. Kiedy w Paryżu mieszkania czynszowe „z wszelkiemi wygodami“ wypierają coraz więcej „hotel particulier“, ów hotel, który tyle wieków tworzył styl, w Niemczech każde większe miasto ma swój Villenviertel. Sztuka dekoracyjna dzisiejszej Francji zasklepiła się w jej wielkiej tradycji i nie stoi w żadnym stosunku do malarstwa, utrzymującego od dwuch wieków swą hegemonję, malarstwa, które jest nieprzerwanym szeregiem nowych odkryć i wartości. W nowej sztuce dekoracyjnej Paryż nie zrobił jeszcze poważniejszych wysiłków. Co będzie za lat kilka, trudno przewidzieć. Żywotność artystyczna tego miasta nie daje się obliczyć.

Alfred Strumieński.

KRONIKA.

— Z prasy. Wyszedł № 1 tygodnika wileńskiego p. n. „Nowe Życie“.

— Kary prasowe: Redakcja tygodnika „Ziarno“ skazana została w drodze administracyjnej na zapłacenie 50 rubli grzywny za artykuł „List z mojej pracowni“.

Redakcja „Kroniki Sandomierskiej“ skazana została na zapłacenie rb. 100. Z rozporządzenia generał-gubernatora redakcja „Kroniki djecezji kujawsko-kaliskiej“ skazana została na 100 rb. kary, z zamianą, w razie niemożności zapłacenia jej, na miesiąc aresztu, za umieszczenie artykułu o potrzebie przytułków polskich dla pielgrzymów.

Redakcja pisma humorystycznego „Mucha“ skazana została na zapłacenie 200 rb. kary za treść 3-ch artykułów, wydrukowanych w № 39 tego tygodnika.

Redakcja „Nowej Gazety“ skazana została na karę pieniężną za podanie wiadomości o rewizji i aresztowaniu.

— Uzupełnienie przepisów obowiązujących. „Warsz. Dniew.“ zamieścił dodatkowe postanowienie, wydane przez generał-gubernatora warszawskiego, treści następującej: „Zabrania się drukować w czasopismach wiadomości i artykułów, podburzających do strejków robotników, zatrudnionych w fabrykach, w zakładach przemysłowych i handlowych, jako też i robotników rolnych“.

— Związki instytucji drobnego kredytu. Zaaprobowany projekt ustawy dla związków instytucji drobnego kredytu rozszerza prawa związków.

Związki będą miały między innemi prawo przyznawania pożyczek towarzystwom zrzeszonym oraz przyjmowania wkładów. Winny przytem związki posiadać przy otwarciu kapitały zakładowe. Wszystkie towarzystwa związkowe są solidarnie odpowiedzialne w sprawach danego związku, na którego czele sto

zgromadzenie pełnomocników, zaś każde z towarzystw zrzeszonych deleguje, zależnie od liczby członków, po 1—2 przedstawicieli.

Związki przytem mogą dokonywać szeregu operacji w zakresie pośrednictwa i ubezpieczeń.

Ze statystyki handlu z zagranicą.— Departament ceł ogłosił świeże dane o obrotach handlowych Rosji Europejskiej z zagranicą w ciągu pierwszego półrocza r. b. Ogólny obrót wynosi około 578,100,000 rb. (poprzdnio obrót wynosił 525,200,000 rb.) Przedmiotem największego wywozu były produkty spożywcze (na sumę 375,000,000 rb.) Zmniejszył się natomiast wywóz cukru (pudru) z sumy 12,000,000 rb. na sumy 14,000,000 rb. Wywóz tytoniu w liściach wzrósł znacznie, prawie wdwójnasób, w porównaniu z rokiem ubiegłym.

— Z ruchu związkowego: Na ostatniem posiedzeniu warsz. komisji gubernialnej do spraw towarzystw i związków, zalegalizowano następujące stowarzyszenia: T-stwo opieki rodziców na kursach pedagogicznych utrzymywanych przez Antoninę Walicką i Związek rodu szlacheckiego Grabowskich herbu „Grabie".

Zatwierdzono zmiany i uzupełnienia w ustawach polskiego Towarzystwa „Esperanto" i dwóch żydowskich towarzystw dobroczynnych.

Odmówiono zmiany ustawy żydowskiemu Towarzystwu pomocy dla biednych żydów w dni sobotnie.

Następnie komisja uchwaliła wnieść do senatu podanie o unieważnienie decyzji komisji, która nieprawnie zalegalizowała Kasę oszczędności i pomocy duchowieństwa katolickiego.

Towarzystwa podobne mają podlegać zatwierdzeniu przez ministra spraw wewnętrznych.

Komisja wreszcie, zbadawszy wyjaśnienia zarządu T-stwa kultury polskiej, uznała wyjaśnienia te za zadawalające i uchwaliła nie zawieszać oddziału V tego T-stwa.

— We Francji wybuchł powszechny strejk kolejowy. Pomiędzy większemi miastami zorganizowano komunikację samochodową. Rząd powołał z prowincji do Paryża kilka pułków piechoty. Zarząd kolei uwalnia ze służby przywódców strejku. Rząd Brianda i Milleranda na wzór austrjacki wezwał do służby wojskowej rezerwistów, pracujących na kolejach Północnych. Tym sposobem ze strejkującego robotnika rząd solidarystyczny republiki francuskiej czyni umundurowanego łamistrejka. Ogłoszono już oficjalnie, że 1,369 starszych i 27,866 młodych pracowników kolei Północnych będzie wezwanych do służby wojskowej na przeciąg 21 dni.

— Strejk robotników okrętowych w Londynie został ukończony. Doszło do porozumienia na drodze ustępstw na rzecz robotników. W Bremie wielki strejk robotników portowych został ukończony.

— Zmarł w Warszawie *Felicjan Faleński*, poeta i prozaik. Ostatniemi czasy, przyciśnięty wiekiem i długą chorobą, nic nie dodał do ogromnego swego dorobku literackiego. Zmarły wiele utworów swoich rozrzucił po czasopismach, osobno zaś wydał między innemi: „Z po nad mogił", „Odgłosy z gór", „Kwiaty i kolce", dramat „Syn gwiazdy", głośną niegdyś powieść „Z daleka i Bliska", „Sama jedna", tragedje „Alka" i „Florynda", dramat „Franceszka z Rawenny" i inne. Pisał też studja, tłumaczył poetów obcych, jak Hezjoda, Horacjusza, Dantego, Petrarkę, Heinego, Szyllera, Musseta i in.

Redaktor i wydawca Dr. J. M. Muszkowski. Drukarnia Artystyczna K. Kopytowski i S-ka Nowy-Świat 47.